KATOLIK

MILWAUKEE, WIS.

CZASOPISMO POŚWIĘCONE INTERESOM POLAKÓW KATOLIKÓW W AMERYCE.

Nr. 15. Czwartek, 24-go Sierpnia, 1899. Rok IV.

Czy zakonnicy są przyczyną rewolucyi na Filipinach.

Niektóre gazety angielskie chcą zwalić całą przyczynę wojny filipińskiej na zakonników, głoszą, że wskutek wielkiego wpływu jaki wywierają na krajowców, tamują szerzenie się cywilizacyi, takiej, jaka jest w Ameryce lub w innych krajach Europy.

Wiadomości te są fałszywe, ponieważ pochodzą ze źródeł niepewnych, a nawet kłamliwych, a mimo to katolicy im wierzą. Wydawcy gazet otrzymywali rozmaite listy i opisy o Filipinach od ludzi, którzy przebywali w Manili krótki czas jako agenci wielkich fabryk, albo jako fotografiści, którzy mając cel swój na myśli, nie mogli zasięgnąć dostatecznych i pewnych wiadomości od krajowców. Jeżeli taki agent lub fotografista z natury był człowiekiem źle usposobionym dla religii, jeżeli przy tem spotkał się z krajowcem również słabej wiary, przeto pisał z uprzedzeniem i na szkodę zakonników, a amerykanie nie mając innych na razie wiadomości, chętnie pisali na wiarę naszę i na zakony. W ten sposób tysiące czytelników wbłąd wprowadzono.

Pytanie, czy zakony są przyczyną rewolucyi filipińskiej, jest bardzo trudne do rozwiązania. Spytajmy się więc, czy rzeczywiście Filipińczycy powstali przeciw zakonom? O ile się to tyczy ludu, odpowiadam: Nie, bo lud pamiętał, że zakony przez 300 lat wiele dlań dobrego zdziałały. Co się tyczy polityki tego kraju, to są tam 2 stronnictwa.

Pierwsze stronnictwo ludu stoi po stronie zakonów i jest liczebnie większe od drugiego przeciwnego zakonom.

Ci, co kochają Boga, religią, porządek, narodowość i postęp, są po stronie zakonów i ich hasłem było: "Hiszpania nas wydźwignęła z pogaństwa do chrześciaństwa, to Hiszpanii mamy zawdzięczać, Hiszpania nam zapewnia prawo wolności, stałość rządu i bezpieczeństwo osoby, jej się trzymajmy".

Druga partya, składająca się z Chińczyków, żydów ludzi wykolejonych i niedowiarków mówi: "Precz ze zakonami, bo one wielkie posiadłości w swych rękach dzierżą, między sobą w niezgodzie żyją, o sobie tylko pamiętają i postęp nauki tamują. Precz z nimi, bo my teraz pokazemy, czem Filipińczycy będą, gdy tylko zakonów nie będzie". Te zarzuty są fałszywe, bo choć zakony mają wielkie posiadłości, to dochód z nich ofiarują na liczne szkoły, na uniwersytety, których jest aż dziewięć; na różne zakłady chorych, na przytułki sierot, na domy starców i kalek i na inne dobroczynne cele. Na pochwałę ich powiedzieć musimy, że prawie wszyscy Filipińczycy umią czytać, pisać i rachować, więc oświatą przewyższają nawet niektóre ludy zaniedbane w Europie.

Co do zarzutu, że zakony się spierają między sobą, to tyle powiedzieć można, że w niektórych kwestyach naukowych powstał spór ale na papierze tylko. Toć i w Ameryce walczy pismo jedno z drugiem.

Że zakony postępu nauki nie tamują, dowodem tego, że najpiękniejsze kościoły, katedry, obrazy olejne, odlewy z dzieła sztuki przez nich były i są do dziś dnia wykonywane i pielęgnowane. Co jest dobrego zakon zawsze bierze w opiekę. Pilnych i zdolnych krajowców przymują do szkół za darmo i chętnie im pomocy udzielają.

Tacy tedy, co skończyli może jedną lub dwie klasy łaciny i potem ich z powodu życia niemoralnego ze zakładów naukowych wydalono, napadają na zakonników ze zemsty i podają o nich fałszywe wiadomości do gazet amerykańskich. Ameryka kupiła ten kraj bo jest bogaty w złoto, miedź, żelazo, sól — ziemia wydaje dwa razy rocznie w obfitości ryż, kawę, buraki, trzcinę cukrową i t. d.

Anarchiści w Paryżu we walce z policyą. Tłuszcza rozbestwiona rabuje kościoły.

Ostatnią niedzielę uświęcili anarchiści paryscy po swojemu Zaburzenie, przypominające historyą komuny wywołali czytelnicy tamtejszych anarchistycznych dzienników. Około 3 godz. po południu zgromadził się ten historyczny gatunek francuskich patryotników na placu "de la Republique." Uzbrojeni w noże, toporki i rozmaite żelazne narzędzia rozpoczęli walkę z policyą, usiłującą ich rozpędzić, przyczem otrzymał naczelnik policyi pchnięcie nożem. Za nadejściem świeżej roty policyi nastąpiła formalna bitwa, w której ujęto i aresztowano czterech prewodyrów. Następnie ruszyły tłumy na kościoły — św. Ambrożego i św. Józefa. W pierwszym powybijano okna; do drugiego wdarła się dzicz, wyłamawszy drzwi. Rozpoczęła się natychmiast najwstrętniejsza scena świętokractwa. Ozdoby z ołtarzów i statuy postrącano na podłogę, krzyże łamano i rzucano pod nogi. Śpiewając piosnkę rewolucyjną, wynosili przed front świątyni ławki, a ułożywszy z nich stos, podpalili, rzucając w płomienie obrazy i krucyfiksy.

Tu zauważyła horda, że sobie zapomniała o wizerunku Najśw. Dziewicy. Wracają więc do świątyni, strącają statuę z postumentu, aby ją rzucić w płomienie, a równocześnie wymyka się trzymany dotąd zakrystyan z ich objęć i sprowadza policyą i gwardyą republikańską. Gdy pomoc ta nadeszła, podkładali właśnie anarchiści ogień pod ambonę. Wnętrze świątyni wyglądało już, jak pogorzelisko. Anarchiści chronili się teraz do przyległych domów lub zajmowali obronne stanowisko w dzwonnicy. Rozpędzono ich jednak po krótkiej walce i aresztowano dwudziestu.

Po odpędzeniu opryszków przybył do świątyni opat Lacour, pozbierał rozrzucone ułamki Najśw. Sakramentu i złożył w cyboryum. Szał anarchistów trwał do późnej godziny po północy: rozpędzone tłumy na jednem miejscu, jawiły się niebawem na innem, a strzały rewolwerowe rozlegały się to w tej to w owej dzielnicy miasta, które przedstawiało niby wielką jaskinię rozbójniczą. Około godziny 10. w nocy pojawiły się tłumy na bulwarach, około pierwszej po północy zebrało się 20 tysięcy na bulwarze "de Magenta". Kamienie brukowe służyły za pociski na policyą.

Oprócz kościoła św. Józefa, położonego w najuboższej części Paryża, zburzono jeszcze dwie kawiarnie.

Wedle wykazu urzędowego prefektury policyi uszkodzono w ciągu tego zaburzenia 380 osób; 360 wzięto do szpitala; 50 policyantów ranionych oprócz dwóch komisarzów — (Goutier i Dolsmine); 150 osób aresztowano, a z tych jest 80 trzymanych pod strażą.

Wszystko to ma Paryż do zawdzięczenia tamtejszej gazecie 'Journal de Peuple", której redaktor Sebastyan Faure, opublikował manifest, wzywający wszystkich anarchistów do demonstracyi. Tysiące egzemplarzy tego wezwania rozrzucono między jego czytelników, którzy mieli się licznie zgromadzić na posiedzenie nocne ze soboty na niedzielę zeszłego tygodnia.

Niepokoje w Czechach.

W czeskiej miejscowości Gradlice, odległej o 15 mil od słynnego bitwą z r. 1866 Koeniggraetzu przyszło 21 b.m. do poważnych zaburzeń między czeską a niemiecką ludnością. Oddział żandarmów, pilnujących budynków miejskich, bombardowano kamieniami ze sąsiedniego domu. Usiłowania żandarmeryi względem opróżnienia tego domu pozostały bez skutku; zdołano tylko kilka osób aresztować. W ciągu nocy strzelano na żandarmów i wywiązała się obustronna walka z tą różnicą, że żandarmerya nie użyła broni palnej, lecz siecznej. Cztery osoby zabito, kilka raniono; gdy większy oddział wojska i żandarmów nadciągnął, rozpędzono luźne tłumy.

Dwie ofiary zderzenia na bicyklach.

W Racine padło 21. b.m. dwoje młodych ludzi ofiarą jazdy na kołowcach — 17-letni Sprague i 17-letnia Schumacher. W chwili gdy wagon kolei ulicznej w pełnym pędzie nadjeżdżał, zmierzali nieszczęśliwi jeźdźcy przejechać przed takowym w przeciwne strony i kołowce uderzyły o siebie wzajemnie, a jadący spadli równocześnie pod koła nadjeżdżającego wagonu. Mężczyzna stracił obie nogi i przeżył tylko jeszcze o 20 minut katastrofę; dziewczyna wyzionęła ducha w 15 minut. Konduktor, kierujący motorem nie mógł przewidzieć zderzenia zawczasu, aby mógł jeszcze pęd wagonu powstrzymać.

Walka z bykiem w Chicago.

Z chicagoskich dziedzińców bydła, na rzeź przeznaczonego, wypadł 22. b. m. zdziczały byk i biegnąc wzdłuż Shields ave., napadł na jadącego konno niejakiego Hayne. Jeździec czując już gorący oddech goniącego byka, spiął konia ostrogami, a gdy ten dęba postawił, skoczył jeździeć na płot, zostawiając zwierzchowca jego własnemu losowi. Zaledwie uczuł się bezpiecznym na swem improwizowanem stanowisku, gdy byk rzucił się na konia i wbił mu rogi pod brzuch. Koń runął zaraz z przeraźliwem rżeniem i już nie powstał, podczas gdy rozwścieczony byk powtarzał jeszcze swe szturmy dopóki koń dawał znaki życia.

Wołanie Hayne'go o ratunek zwróciło na siebie uwagę sąsiadów; zawiadomiono o niezwykłej tej scenie policyą i w kilku minutach przybyło na miejsce kilku uzbrojonych w strzelby policyantów, którzy urządzili polowanie na czworonożnego bohatera. Trzy naboje z a l e d w i e wystarczyły, zanim się wywrócił rogaty.

USŁUGA PSA

Tego samego dnia ocalił pies nowofunlancki życie dziecka w temże samem mieście przed pociągiem kolei ulicznej. Niejaki Tomasz Pedro wracał wieczorem z parku ze żoną i sześcioletnią dziewczynką. Rodzinie towarzyszył i nieodstępny towarzysz, pies nowofunlancki, w którego towarzystwie dziecko wyprzedziło znacznie postępujących zwolna rodziców. Dziecko potknęło się na s z y n a c h w przechodzie w poprzek ulicy, na której kursuje kolej uliczna, gdy właśnie nadjeżdżał wagon. Konduktor nie widział wcale dziecka, lecz zastanowiło go natarczywe szczekanie psa, zwróconego wprost ku wagonowi i zastępującego niejako wagonowi na samym środku torów. Gdy konduktor wstrzymał ruch wagonu, spostrzegł, iż ten ostatni tylko jeszcze kilka cali oddzielało od dziecka.

Sędziowie przed sądem.

Niedawno rozegrała się przed francuskim trybunałem przysięgłych scena, rzucająca ponure światło na teraźniejsze stosunki społeczne.

Na ławie oskarżonych siedział ośmnastoletni chłopak, na którego twarzy wybite było piętno zbrodni i zgnilizny moralnej.

Prezydent: Sandot, zamordowałeś staruszkę Rozynę Menie, aby posiąść jednego franka, jakiego nieszczęśliwa posiadała. Gdybyś wiedział, że tak mało u niej znajdziesz, byłbyś jej nie zamordował.

Sandot: Dla czego nie? Pracuję dla każdego zarobku!

Prezydent: Odpowiedź twoja wstrząsnęłaby do głębi nawet najgorszym wyrzutkiem. Masz dopiero lat ośmnaście, a jesteś tak okropnym zbrodniarzem. Kto cię nauczył takiej nikczemności?

Sandot: Albo ja wiem.

Prezydent: Czy przyznajesz się do wszystkiego, co ci zarzuca akt oskarżenia?

Sandot: P r z y z n a j ę i — śmieję się z tego.

Obrońca, Saint Appen, rzekł mniej więcej, co następuje: Moje zadanie jest bardzo łatwe. Oskarżony się przyznał, obrona jego niemożliwą. Pomimo tego wypowiem kilka słów. Jeżeli rząd żąda od Sandota, aby odpowiadał za popełnioną zbrodnię, to niechże mi wolno będzie wyrazić moje zdanie o tym sądzie. Nie wiem, co orzekną przysięgli, ale to wiem, że niejeden z obecnych jest winniejszym, niż zbrodniarz Sandot. Tych winnych chcę napiętnować. Winnymi jesteście wy, moi panowie, wy, którzy reprezentujecie społeczeństwo; to społeczeństwo, które karze zbrodniarzów, ale nie odważy się na usunięcie swego własnego zepsucia, swej lekkomyślności, swej moralnej dekadencyi.

Widzę przed sobą na ścianie Ukrzyżowanego. Wisi tutaj w sali sądowej, gdzie sądzą zbrodniarzów. Dla czego nie wisi on w szkole, do której posyłacie dzieci wasze? Dla czego go karzecie teraz, powołując się na Boga? Dla czego Ukrzyżowanegu na Golgocie pokazaliście Sandotowi dopiero tutaj, gdy stoi, aby odpowiadać za czyn swój zbrodniczy? Gdyby Sandot w swej młodości, gdy chodził do szkoły, miał przed oczyma obraz Chrystusa, jego przykład i jego naukę, z pewnością nie dostałby się na ławę oskarżonych. Kto pouczał Sandota, że ma duszę nieśmiertelną, że ma kochać Boga i ludzi? Kto go uczył przykazań Boskich.

Duszę jego wydano bez ochrony, bez moralnego oporu na łup wszystkich złych namiętności. Chłopiec rósł jak dzikie zwierzę na puszczy, sam w ś r ó d społeczeństwa ludzkiego, które go teraz, zasiadając na ławie sędziowskiej, każe zarżnąć, jak dzikie zwierzę, podczas gdy z niego mogło sobie wychować jagnię.

Tak; was oskarżam moi panowie, was, którzy szczycicie się wykształceniem, w rzeczywistości jednak jesteście — brutalnymi barbarzyńcami. Wy kaznodzieje cnót obywatelskich, wy, którzy w ludzie szerzycie niewiarę i rozpustę słowem i czynem, a potem udajecie zdziwionych, gdy wam ten lud odwdzięcza się zbrodnią, brutalnością i zupełnem zepsuciem. Zasądzicie Sandota, macie do tego prawo, ale ja was oskarżam; w ten sposób tylko spełniam mój obowiązek.

Po skończeniu tej mowy rozległy się w sali frenetyczne oklaski i tylko z wielkim trudem udało się prezydentowi zaprowadzić spokój. Przysięgli po krótkiej naradzie wydali werdykt, potępiający, a trybunał skazał Sandota na śmierć.

Obrońca podnosi rękę w kierunku krzyża i woła: "Bóg kiedyś tych sędziów sądzić będzie!

CHYBIONY POMYSŁ.

Oblężony w swem mieszkaniu przez policyą w Paryżu antysemicki przywódca, Guerin, wynalazł sposób zabezpieczenia się przed głodem. Nie wiadomo czy skutkiem prostej litości nad Guerinem i jego towarzyszami, czy s k u t k i e m umowy między nim, a sąsiadami, usiłowano w niedzielę, 20. b. m. przerzucić oknem z domu, położonego po przeciwnej stronie ulicy, do otwartego okna kawałek baraniny na posiłek oblężonych. Ku nieszczęściu głodnych nie powiódł się ten pomysł, bo rzucona z przeciwległego okna szynka barania upadła na ulicę zamiast oknem otwartem do mieszkania Gueryna. Policya rozumie się pochyciła natychmiast ów prowiant, co oblężonego doprowadziło do ostatniej pasyi. Grożąc pięścią zaciśniętą policyantom, wołał: "Jeżeli który z mych ludzi będzie się żalił na głód, zestrzelę głowę prefekta policyi z karku, jak tylko pójdzie tą ulicą".

NIE PODŁUG WOLI CESARSKIEJ WYPADŁA SPRAWA KANAŁOWA.

W Berlinie czuć nie miłą woń polityczną z powodu, iż rada państwa odrzuciła przeważną większością głosów projekt rządowy względem budowy kanału tak zwanego wewnętrznego, czyli lądowego, mającego łączyć spławne rzeki Niemiec. Jest to bowiem pierwszy wypadek, gdzie upragniony cel cesarza rozbił się o opór większości, reprezentującej naród. Maszyna wpływowa jakoś się popsuła i ministrowie czują się tym razem zakłopotanymi we wysokim stopniu, iż nie umieli zręcznie korbować. W tych dniach odbędzie się z tego powodu konferencya ministrów pod przewodnictwem samego cesarza, bo bądź co bądź maszyna wpływowa wymaga reperacyi; a może i zmiany korbujących.

LOS GONIĄCYCH ZA ZŁOTEM.

Niejaki W. Alston Hayne, były superwizor ze Santa Barbara w Kalifornii, bawił w ciągu ubiegłej zimy w obwodzie Kotzebue w Alasce. przysłał on wykaz imiennny wszystkich, którzy tam złota poszukując, śmierć znaleźli. Spis ten zawiera 48 imion, do których wypada doliczyć jeszcze 36 mężczyzn zatonionych. Niemal wszyscy ulegają chorobie "skorbut" a 7. procent na nię umiera.

DŻUMA WE WŁOSZECH.

Według doniesienia do dziennika londyńskiego "Daily Mail" ze Rzymu okazać się miały objawy dżumy w Neapolu i w Palermo. Śmierć miała nastąpić w kilku wypadkach, a gazety miejscowe mają nie wspominać nic o tem celem uniknienia powszechnego popłochu między mieszkańcami. Środki ostróżności, zapobiegające rozszerzeniu się tej zarazy, zastosowano doraźnie.

PŁAĆCIE ZA KATOLIKA I ŹRODŁO.

9 OFIAR WYPADKU.

Według depeszy z Manili utonęło 9 szeregowców 24go pułku amerykańskiej infanteryi w nurtach rzeki Moriquine. Płynęli oni w łodzi, przytwierdzonej liną do statku, pod wodzą pułkownika Crane przez rzekę, która była w miejscu przeprawy nadzwyczaj rwąca; lina się urwała, łódź się wywróciła i 9 żołnierzy utonęło.

MIASTO VICTOR W COLORADO ZNISZCZONE POŻAREM.

Najprzedniejszą część miasteczka Victor w Colorado zniszczył pożar 21. b.m. doszczętnie. Ogień powstał przez nieostrożność w kawiarni i szerzył się z powodu panującego wiatru z niezwykłą szybkością. Domy zbudowane przeważnie z drzewa na kształt klatek, zwyczajem tutejszym i wzmagający się równocześnie wiatr udaremniły wszelkie wysiłki ratujących. Pomimo przybyłej na ratunek pomocy ze sąsiedniego miasteczka, Cripple Creek, zdołano zaledwie wstrzymać rozszerzenie się pożaru na całe miasto. Szkoda zrządzona wynosi przeszło dwa miliony dolarów.

MYŚL O WOLNOŚCI NIE DOSZŁA DO CZYNU.

Komendant twierdzy Sheridan odkrył w samę porę plan tamtejszych więźniów wojskowych względem odzyskania wolności za pomocą wzajemnej pomocy. Pewien zbieg wojskowy z 2go pułku konnicy zdołał umknąć, lecz ta właśnie okoliczność naprowadziła komendanta na myśl urządzenia ścisłej rewizyi, podczas której znaleziono w celach więziennych pełno pilników i nożów różnego kalibru, które więźniowie przygotowane już mieli celem doprowadzenia do skutku ogólnej ucieczki.

OSTRZEŻENIE!

Ktokolwiek życzy sobie naszych pism: "Katolika" lub "Źródła", zechce przysłać swój adres wprost do redakcyi. — Agentów nie utrzymujemy żadnych i nie chcemy ich, a publiczność ostrzegamy, aby pieniędzy żadnym niby agentom nie dawała.

KATOLIK

wychodzi w każdy Czwartek.

ABONAMENT:

W Milwaukee za rok cały... $1.50
Numer pojedyńczy.............3c
W innych krajach.............2.00

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy:

Prof. JOHN KUK,
Cor. Lincoln & 1. Avs.
MILWAUKEE, - WISCONSIN.

Wydawca: Ks. W GRUTZA.

Entered at the Milwaukee P. O. as second class mail matter.

ADVERTISING RATES:

Space	Week	Mo.	3 Mo.	6 Mo.	1 yr.
1 inch	50c	$1.25	$2.50	$5.00	$10.00
2 inch	$1.00	2.50	4.50	8.00	15.00
3 inch	1.50	3.75	6.25	12.00	20.00
¼ col.	2 50	5 50	10 00	20 00	30 00
½ col.	4 50	12 00	18 00	30 00	50 00
1 col.	7.00	20.00	30.00	40.00	100.00

Zdanie Niemca o języku ojczystym.

Kapłan katolicki X. Franc. Feuerstein, duszpasterz parafii św. Ducha w Dubuque, powiedział na zebraniu niemieckiem takie słowa:

"My Niemcy mówimy po niemiecku w naszej familii, po niemiecku w naszem wspólnem pożyciu towarzyskiem i po niemiecku nawet z Panem Bogiem. Kto się wstydzi swej niemieckiej mowy, tego żałujemy jako człowieka, któremu nie można zaufać. Czyż, kochani przyjaciele, Niemiec w Ameryce nie ma prawa posługiwać się swą mową ojczystą? Tego mogą nam tylko tacy ludzie zakazywać, którzy nigdy swej ojczystej mowy nie mieli i którzy jako niewolnicy uginali swe grzbiety. Człowiek, który świadomy jest swych praw i swej wolności, nie będzie tego nigdy żądał. Czyż nie mamy mieć prawa, jako ludzie, posługiwać się naszą mową ojczystą, albo czyż mamy zapomnieć tych dźwięków, które z ust naszych kochanych matek najprzód w nasze małe serduszka się wpoiły, dźwięków tej mowy, w której na samprzód do Boga przemawialiśmy w świętej modlitwie i w której śpiewaliśmy nasze pierwsze pieśni. O luba mowo niemiecka, którą nam niebo dało, abyśmy na tobie ku niebu (!) się unosili; o mowo ojczysta, która serca wszystkich pni niemieckich łączysz w przyjaźni silniej niż stal i żelazo; o mowo ojczysta, któraś grzmiącymi słowy przemawiała do chytrych nieprzyjaciół; o mowo niemiecka, która sztuce i nauce tak zbawiennie użyczyłaś skarbu tych słów, jakżeby mogli niemieccy Amerykanie kiedy ciebie zapomnieć."

Tak ubóstwiał i pod niebiosa wysławiał mowę niemiecką niemiecko katolicki Ksiądz Feuerstein, a "Firmlaendische Ztg." z Brunsbergii, z której tę wiadomość podajemy — nazywa słowa te "wysoce uwagi godnymi i trafnymi." I my je za takie uznajemy, ale dodajemy, że gdyby który z naszych polskich księży tak samo się odezwał w obronie mowy polskiej, to ta sama "Firmlaendische Ztg." nazwałaby go bez wątpienia "fanatykiem polskim" lub jeszcze gorzej.

Ale nie o to nam chodzi. My chcieliśmy tylko podać naukę moralną dla wszystkich tych, którzy chcieliby narodowość polską i język polski wytracić. Otóż tacy ludzie są wedle słów X. Feuersteina niewolnicy, którzy uginają plecy i którzy własnej mowy nigdy nie mieli. Są to poprostu łotry, którzy nie warci że ich święta ziemi nosi.

I my rozmawiamy z Bogiem w modlitwie po polsku i my na skrzydłach tej mowy, i na skrzydłach tej modlitwy w języku ojczystym unosimy się ku niebu i bronić chcemy tej naszej pięknej mowy polskiej do ostatniego tchu. Gdyby zaś ktoś z obozu nam nieprzychylnych robił z tego powodu jakie zarzuty, to przypomnimy mu "wysoce uwagi godne i trafne" słowa X. Feuersteina.

Berlin.

Polacy stanowią prawie połowę l u d n o ś c i katolickiej w Berlinie i okolicy, składają się na budowę kościołów, zbierają nawet w tym celu składki w kraju, i domagają się nawzajem, aby uwzględniono ich język w kościele. Duchowieństwo niemieckie korzysta chętnie z ich pomocy tak w sprawach kościelnych, jak i wyborczych, ale w ogólności sprzeciwia się zaprowadzeniu kazań i nabożeństw polskich. Nabożeństwa polskie odbywają się stale tylko w dwóch kościołach, na Moabicie i w kaplicy św. Piusa przy Pallissadenstr. a wyjątkowo w katedrze św. Jadwigi i w kościołach na północy miasta. Stąd też dwa wymienione wyżej kościoły nie mogą pomieścić wiernych, inne zaś świecą często pustkami.

Przed kilku miesiącami, wysłali kierownicy kolonii, na mocy uchwały walnego zebrania, do ks. kardynała Kopp'a bezpośrednio prośbę o pomnożenie kazań polskich. Odpowiedzi nie było. Kiedy jednak postanowiono ponowić prośbę, a w danym razie odwołać się z prośbę, do Stolicy Apostolskiej, zastępca kardynała, delegat arcybiskupi dla Berlina. ks. Neubauer, zaprosił do siebie członków komisyi, zajmującej się tą sprawą, i oświadczył, że dla braku księży polskich życzeń kolonii chwilowo uwzględnić niepodobna.

Delegat wyraził arcybiskupowi swoje zdziwienie, że Polacy którzy w życiu powszedniem posługują się językiem niemieckim, domagają się, aby uwzględniono ich język w kościele. Na odpowiedź, że katolicy Polacy chcą zachować swoję narodowość i dlatego w domu mówią tylko po polsku, wychowują w tym języku dzieci i pragną też modlić się w swoim języku, a wreszcie mają prawo żądać, aby uwzględniono ich życzenia, ks. Neubauer przyrzekł im swoje poparcie, ale radził zaczekać z wysłaniem ponownej prośby do ks. kardynała Kopp'a i Ojca św. Od czasu, jak ks. Wawrzyniak, znany patron Spółek zarobkowych poznańskich, zrzekł się mandatu do sejmu pruskiego, aby działać tem gorliwiej w kraju, widoki katolików Polaków w Berlinie pogorszyły się znacznie.

Niechęć duchowieństwa niemieckiego do Polaków odbija się bardzo smutno na moralnych stosunkach kolonii polskiej. Wobec braku nabożeństw polskich i opieki duchownej, coraz większa liczba obojętnieje zupełnie dla spraw religijnych, a równocześnie zapomina o swem pochodzeniu. Druga generacya, wychowana bez żadnych zasad, pod wpływem niezdrowej atmosfery wielkomiejskiej, pada ofiarą własnej lekkomyślności i złego przykładu, i pomnaża szeregi zbrodniarzów. Wykazy policyjne pełne są nazwisk polskich, poprzekręcanych najdziwaczniej, godne zaś uwagi, że z niezliczonymi wyjątkami przestępcy ci podają się za protestantów. Katolika Polaka w rubrykach zbrodni znaleźć trudno.

Dz. Ch.

Trzęsienie ziemi w Rzymie.

Pierwsze wstrząśnienie odczuto o godz. 2 po południu, poczem nastąpiło drugie silniejsze; oba szły falisto od północnego wschodu na południowy zachód i trawły 10 sekund, szerząc wszędzie szaloną trwogę; szkód znaczniejszych nie wyrządziły jednak. W górnych dzielnicach miasta spadły gzymsy z kilku domów. W kościele św. Wawrzyńca runął filar; na placu Lucina, w mininisterstwie spraw zagranicznych zarysowała się wewnątrz jedna ściana. Ludzie z przeraźliwym krzykiem wybiegli na ulice, sale urzędów opróżniły się, posiedzenia sądowe przerwano. We więzieniu Regina Coeli podieśli aresztanci bunt w przewidywaniu, że będą zasypani gruzami zapadających się murów; przewidywania te nie sprawdziły się na szczęście się, a żandarmi przywrócili porządek. Przy Porta Salara runęło sklepienie, a gruzy zabiły konia. W pałacu Sciarra zarysowały się w kilku miejscach ściany i osunęły się niektóre framugi drzwi; w bazarze pod firmą "Bon Marche" spadły dwie lampy łukowe; w dzielnicy ludowej przy Porta triumphalis, u stóp Watykanu, uszkodzone są silnie domy. Wszystkie zakonnice uciekły przerażone z klasztoru w dzielnicy Ludovisi. Przy Porta Pia raniły spadające cegły robotnika i kobietę bardzo ciężko. W godzinę po trzęsieniu ziemi spadł obfity deszcz. O znacznie większych szkodach donoszą z Frascati. Ani jeden dom nie ocalał. Wszystkie wile, gmachy publiczne i domy prywatne są silnie uszkodzone. Fasada kościoła parafialnego, zarysowana głęboko od góry do dołu, grozi runięciem; z atyki willi Lancelotti spadł posąg; obserwatoryum na Montecavo silnie uszkodzone. W różnych miejscowościach L a t i u m wstrząśnienie również gwałtownie odczuć się dało; w Montecompatri szkody znaczne. Ludność Genzano, pomna jeszcze katastrofy podobnej z roku 1895, obozuje w polu. W okolicach Rzymu w Castelli Romani, w Rocca di Papa, Castel Gandolfo, C i v i t a Lavinia, Tivoli, Marino, w Frumicino odczuto silniejsze lub słabsze wstrząśnienia. W C a s t e l Grandolfo runęła część kościoła. Wśród ludności panuje wielkie wzburzenie. Prezes ministrów Peloux, udał się na wieść o klęsce we Frascati, niezwłocznie na miejsce katastrofy.

Odnowienie Wawelu.

W r. 1897 uchwalił sejm, jak wiadomo, celem uczczenia jubileuszu 50-letniego panowania cesarza Franciszka Józefa wybudować w Krakowie kosztem kraju i oddać na własność skarbu wojskowego nowe budynki i zakłady dla wojska, a to w tych rozmiarach, jakich trzeba dla obecnej załogi i zakładów wojskowych, pomieszczonych w zabudowaniach zamkowych na Wawelu. Po zupełnem opróżnieniu w ten sposób Wawelu, złożyć ma ponowną prośbę, by cesarz zamek wawelski objął w swe posiadanie. Sejm postanowił zarazem wyznaczać co roku w budżecie odpowiednią sumę na odbudowanie zamku królewskiego na Wawelu. Rokowania, prowadzone przez wydział krajowy z władzami wojskowymi w sprawie opróżnienia zamku na Wawelu, już z końcem r.z. postąpiły o tyle naprzód, iż osiągnięto porozumienie co do gruntów pod budowę nowych gmachów wojskowych. Obecnie wypracowały władze wojskowe i przedłożyły wydziałowi krajowemu szczegółowe plany i kosztorysy projektowanych nowych budowli, oraz wyznaczyły wysokość sumy ryczałtowej skarbowi wojskowemu przez kraj wypłacić się mającej, na wykończenie potrzebnych budowli. Układu w tej sprawie nie można było jeszcze zawrzeć, gdyż zachodzą pewne różnice w zapatrywaniach między wydziałem krajowym, a władzami wojskowymi co do wysokości wypłacić się mającej skarbowi wojskowemu sumy ryczałtowej. Ze strony wydziału krajowego prowadzi rokowania dr. Józef Wereszczyński, który bawił niedawno z tego powodu w Krakowie i sprawą tą nader gorliwie się zajmuje.

Ciekawy nakaz.

Burmistrz w Gniewkowie p. Kowalski wystósował, jak donosi "Dz. Kuj.", do właścicielki hotelu pani B. nakaz usunięcia ze sali obrazu Adama Mickiewicza w 8 dniach, inaczej zagroził jej karą 10 marek lub 1 dnia więzienia. Jakież to ciekawe! We Warszawie postawiono na głównym placu pomnik Mickiewicza. Przed jego geniuszem i dziełami uderzył czołem w roku zeszłym nawet taki "Gesellige" grudziądzki, przyznając, że Adam Mickiewicz zajmuje jedno z najpierwszych miejsc wśród największych geniuszów poetyckich całego świata, że dzieła jego są duchową własnością całego cywilizowanego świata. Nawet najzjadliwsza złość hakatystyczna nie śmie oponować wielkości takiego znaczenia naszego króla poetów. Innego zdania jest Kowalski, burmistrz Gniewkowa, bo oto rozkazuje portret Mickiewicza usunąć ze sali prywatnej, z prywatnej własności obywatelki Gniewkowa. "Kultura niemiecka" wydaje w polskich dzielnicach rzeczywiście dziwaczne kwiatki. Spodziewamy się jednak, że władza przełożona bynajmniej nie pochwali tego ukazu pana burmistrza, że ukaz ten zaambarasuje nawet poważniejsze koła szowinistów niemieckich.

GNIEZNO.

Proboszcz wojskowy w Berlinie X. Markwart, pochodzący z archidyecezyi, Bydgoskiej zostanie proboszczem w Bydgoszczy, gdyż magistrat bydgoski dał mu prezentę, a najprzew. X. Arcybiskup nie ma nic przeciw temu do nadmienienia.

ANGLIA.

Wiele zgromadzeń zakonnych otrzymało w posiadanie dawne swe klasztory, które im protestantyzm przed więcej niż trzy stu laty zabrał. W ostatnim czasie odbudował margrabia of But, nawrócony przed 30. laty, dawny klasztor franciszkański w Elgin, w Szkocyi. W końcu przeszłego roku znowu osiedli tam Ojcowie Franciszkanie. Koszta odbudowania klasztorn wynoszą do pół miliona funtów szterlingów (10 milionów marek).

Nowy Rok.

(Dokończenie.)

Niewolnicy z p o c z ą t k u milczeli z bojaźni: czy ich pan nie zwaryował? Ale gdy poczęto rozdawać im: mąkę, oliwę, płótno i po dwa sykle pieniędzy, rozległ się okrzyk trzech tysięcy poranionych ludzi:

— Niech cię Bóg błogosławi!... Niech ci da szczęście!...

Wagi wciąż szły do równej miary, i już widać było talerz "skarbów wiecznych" choć jeszcze bardzo wysoko.

Niewolnicy rozbiegli się do bliskiego miasteczka i poczęli kupować zabawki dla dzieci. Ten chwytał batożek, inny świstawkę glinianą, inny papierowego kozaka, albo grzechotkę.

Gdy zaś wrócili do swoich jaskiń, usłyszano rzecz niezwykłą. Oto zamiast płaczu niewiast i kwilenia niemowląt rozległy się śmiechy, krzyki, świstania, strzelania z batożków i grzechotanie.

Waga Ofira spadła nagle do równej miary, i bogacz był jak dziecię, które, przychodząc na świat, tyle posiada skarbów doczesnych, ile wiecznych.

Aż Jehowa, którego uszu dolatywały tylko płacz i skargi, usłyszawszy w ziemi Ofira śmiechy, błogosławieństwa, świstanie i grzechotanie dzieci — zadziwił się.

I oderwawszy wszechmocny wzrok swój od nieskończoności, w który był zapatrzony, spojrzał na Ofira.

Starzec padł, jakby w niego sto gromów uderzyło i już nie podniósł się. Duszę jego, niewinną jak dziecię, porwał wicher nadziemski i odniósł w odległą krainę, gdzie Adam z Ewą używają wiekuistej młodości i gdzie litościwy Abel tuli na własnej piersi łzami zalanego bratobójcę Kaina.

Przygoda Ofira była sławną na cały świat i przez długi czas panowała po nim na ziemi bojaźń Boska.

Na pamiątkę dawali zaś synowie, wnuki i prawnuki Ofira każdego roku po zbiorach i rachunkach, niewolnikom swoim dzień wypoczynku i obsypywali ich darami, przyjmując w zamian modlitwy, błogosławieństwa i życzenia wszelkiej pomyślności.

Ale orszak planet biegnie wciąż naprzód z prędkością sześćdziesięciu milionów mil rocznie, skutkiem tego ludzie stracili z oczu miejsce, skąd przychodzą i dokąd wracają dusze, a nadto, co gorsza, nie widzą już Jehowy i onych wag ze skarbami doczesnymi i wiecznymi.

Wieść o przygodzie Ofira ucichła biegnąc przez tysiące pokoleń. Jego zaś dary dla niewolników, z miłości ku Jehowie rozdane, zostały później "zjawiskiem szczątkowem w życiu społeczeństw."

Bogaci gratyfikują i dziś na Nowy Rok, odtrąciwszy poprzednio właściwą sumę ze zarobków. Niewolnicy i dziś błogosławią ich, w duszy przeklinając.

A jak się tam dzieje z wagami na niebie: który talerz mocniej przeważa? Kto to wie!...

Wszechmocny też, do którego uszu dolatuje mało okrzyków radosnych, lecz dużo klątw i płaczu, nie spogląda już na ziemię. Dał przecie światu prawa niezawodne, ludziom przebiegły rozum i współczucie, — czegoż więc chcieć od Niego?

Siejcie na ziemi, co wam lepiej do smaku przypadnie, pamiętając o przyszłych zbiorach. Miejcie jednak tyle rozsądku i wstydu, ażeby nie dziwić się kiedyś owocom własnej pracy i pożądań.

WARMIŃSKA DYECEZYA.

Z rąk najprzew. X Biskupa otrzymali w chórze tumu święcenia niższe alumni: Borzystowski, Dobberstein, Kurbjeweit, Ganswindt, Lingk i Teschner, a święcenia subdyakonatu klerycy: Borkowski, Brzeszczyński, Bullert, Dobrzyński, Fischer, Hanowski, Heppner, Jabłonka, Keuchel, Krause Mathebiowski, Mohn, Nadolny, Neumann, Poetsch i Tietz.

Przeklęte szczęście.

(Ciąg dalszy.)

Z kolei myślał o fabryce płótna, o swojej starej ciotce, biednym rękawiczniku, który mu jakiś czas darmo dawał obiady, o ludziach niemających roboty, o projektach obrachowanych na ogólny pożytek i niewymowna gorycz napełniła mu serce. Przypomniał też sobie pewnego staruszka w piaskowym surducie, znakomitego filozofa i pesymistę, z którym poznał się w Paryżu. I przed nim Władysław często rozwijał swoje ogromne plany. Starzec słuchał go zawsze z pobłażliwym uśmiechem i w konkluzyi rzekł:

— Wielkie idee, oprócz wielu złych, mają jednę dobrą stronę. Oto: stanowią pewien rodzaj umysłowej wizykatoryi dla ludzi młodych i zdolnych, lecz ubogich!....

— Tak, szepnął Władysław. Majątek mój jest za duzy na to, aby go oknem wyrzucić, a za mały na uszczęśliwienie świata. Gdybym go rozdzielił tylko między swoich współobywateli, na każdego wypadłoby niecałe trzynaście groszy!...

Ostatnia ta uwaga zapieczętowała szereg tych medytacyj. Wilski wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju, jak człowiek, który już wie, co mu robić wypada.

"Cnoty toną w interesie, jak rzeki w morzu", powiedział La Rochefoucault. Miał słuszność.

Władysławowi głowa pałała, pulsy biły jak młoty. Otworzył lufcik i głęboko odetchnął. Na dworze była noc i cisza, w jego pokoju dogorywała lampa.

Gdy odwrócił głowę, zdawało mu się, że wśród pomroki niknie przeciwległa ściana pracowni, odsłaniając przed jego oczyma wykwintny buduar, pełen bogatych sprzętów i upajającej woni. Na fotelu, pokrytym ciemno-zielonym aksamitem siedziała, a raczej leżała kobieta z głową odrzuconą w tył, z przymkniętymi oczyma i wyrazem zachwytu na śniadej twarzy.

"Mów cokolwiek! szeptało widmo. Niech usłyszę głos twój"...

— Ach! ach! rozległ się jęk w pokoju Helenki

Wilski wybiegł tam.

— Co ci jest Heluniu?... zawołał.

— To ty, Władziu?... Nic... śniło mi się coś, zresztą nie wiem...

— Może nasze miliony? spytał się z uśmiechem.

Nie odpowiedziała nic i znowu zasnęła.

V.

PIERWSZE KROKI.

Szatan i obłęd panują zawsze w nocy; dzień jest ojcem zdrowego sądu. Wilski wstydził się z rana wczorajszych przewidzeń i spokojnie myślał o obowiązkach, których nikt wprawdzie nie mógł mu narzucić, lecz które tkwiły w jego duszy.

Głos rozsądku i sumienia przypominał mu ludzi, od których doświadczył dobrodziejstw i projekty, które obecnie mógł wykonać. Wstał trzeźwy, ubrał się szybko i wyszedł do biura telegraficznego, aby donieść o swej fortunie Grodzkiemu i wezwać go na wspólnika.

Do czego na wspólnika? jeszcze nie wiedział.

W połowie drogi na ulicy usłyszał, że go ktoś woła. Obejrzał się i zobaczył karetę, z której wysiadał Welt.

— Szedłeś pan do mnie! rzekł bankier tonem niezachwianej pewności. Winszuję. Podobne wypadki trafiają się nader rzadko.

— O czem pan mówi?

— Rozumie się, że o pańskich milionach. Ja wiem wszystko! Traf cudowny! Kasa moja jest na pańskie usługi i nawet dziś mogę panu ofiarować sto tysięcy na osiem procent. Nigdzie pan nie dostaniesz taniej.

Oszołomiony Władysław milczał.

— Naturalnie zgadzasz się pan — mówił dalej Welt. — Siądźmy do mojej karety.... Musisz się pan wyekwipować przyzwoicie. Zaraz panu odliczę pieniądze, a we wolnym czasie pogadamy o pańskim projekcie towarzystwa budowlanego, który mnie zachwyca! Stangret zawróć! Jechałem właśnie do pana. Trzeba służyć społeczeństwu w miarę środków, panie Wilski; to zasada. Musimy mieć towarzystwo budowlane!

Gdy stanęli na miejscu, bankier rzekł:

— Każę przygotować rewers, a tymczasem racz pan wstąpić do mojej Amelci.

Wilski machinalnie poszedł na górę i za chwilę już był w salonie.

Czekał minutę... dwie.... W połowie trzeciej ukazała się bankierowa.

Była bardzo blada i podając Władysławowi rękę rzekła zmienionym głosem:

— Dawnośmy się już nie widzieli!...

Na twarz jej wybiegł rumieniec.

Nastąpiło chwilowe milczenie, które znowu przerwała pani Welt.

— Dziś dowiedziałam się o pańskiem... nie wiem, jak nazwać... Ludzie nazywają to: szczęściem. Jeżeli istotnie szczęście, w takim razie szczerze, serdecznie winszuję panu.

Wilski pocałował ją w rękę. Była gorąca jak ogień, lecz sztywna.

Potem mówili o rzeczach obojętnych, początkowo z pewnego rodzaju przymusem, następnie śmielej. Nagle usłyszeli na schodach głos Welta.

Pani Amelia zmieniła przedmiot i zapytała prędko:

— Wszak wyjeżdżasz pan do Krakowa?

— Zapewne...

— Kiedy?

— Jeszcze nie wiem, dokładnie.

— Ja chciałabym także wyjechać

— Kiedy? — spytał znowu Wilski, czując, że mu serce bić przestaje.

Pani Amelia zawahała się. Bankier wstępował na schody.

— W piątek wieczorem... dodała szybko stłumionym głosem.

Welt wszedł do salonu; porozmawiali chwilkę razem, zabrał Wilskiego do swej kancelaryi. Tam przez dobrą godzinę liczyli pieniądze, a wreszcie pożegnali się bardzo serdecznie.

— Ja, panie, rzekł bankier w końcu, jestem człowiekiem, którego do rany można przyłożyć. Ja dla projektów pańskich miałem zawsze wielką sympatyą i gdyby nie... No, pan wiesz, jak kobiety bywają ostrożne!... Sądzę także, że nie pogniewasz się pan na Amelcię, jeżeli powiem, że ona nam najwięcej przeszkadzała w porozumieniu się. Ale wczoraj zwyciężyłem ją stanowczo! Pan jesteś człowiek pomysłowy, a to w interesach dużo znaczy...

Gdy Władysław był już we drzwiach, Welt zawołał:

— Ale!... ale!... wiesz pan co?... Mówmy sobie ty! Między przyjaciółmi i wspólnikami nie powinno być ceremonii. To moja zasada. Władziu!

Wróciwszy do domu, Wilski zastał już kilka biletów wizytowych od przyjaciół, którzy go wczoraj jeszcze nie znali i kilka próśb od osób ubogich, które chyba cudem dowiadziały się o jego fortunie.

— Oto jest natura ludzka! rzekł ze śmiechem.

— W każdym jednak razie wesprzesz Władziu tych biedaków. Któż wie, czy i oni już oddawna nie wydali ostatniego rubla? odpowiedziała Helenka.

Władysław obiecał ich wesprzeć; śmiejąc się, opowiedział żonie o serdeczności Welta, pokazał jej pieniądze i zawiadomił, że w piątek wieczorem musi wyjechać do Krakowa

— To pojutrze! szepnęła Helenka, blednąc. Tak mi będzie smutno...

Uścisnął ją i już nie mówili o podróży.

Następnego dnia powiedział jej o wynajęciu nowego mieszkania.

— Wziąłem na Krakowskiem pięć pokojów, przedpokój i kuchnię za osiem set rubli...

— Tak nam tu było dobrze, odpowiedziała Helenka. O!... już na nowem mieszkaniu nie spotka nas szczęście....

— Prócz tego, mówił mąż, będziemy mieli eleganckie meble, lokaja, pokojówkę i dobrą kucharkę.

— A cóż się stanie z Mateuszową?

— Ach! prawda... Zresztą, jeszcze pomyślimy o niej.

Nadszedł dzień wyjazdu, wietrzny, pochmurny i słotny. Wilski był zadumany. Helenka wzdychała. Oboje nie tknęli obiadu i z niepokojem oczekiwali wieczoru.

Około ósmej Helenka rzekła:

— Odprowadzę cię na kolej, dobrze?...

— Daj pokój aniołku, możesz się zaziębić.

O dziewiątej zajechał na podwórze powóz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KURPIE.

[illegible]na przez Kazimierza Władysława Wójcickiego.

> "Stara powiastka jak wino z Tokaja
> Serce zagrzewa i umysł upaja."
> Dominik G. Magnuszewski, konfederat.

(Ciąg dalszy.)

Zienkiewicz nalał drugi puhar.

— Śmiało pijcie, rzekł do Remera, bo to stare wino, a u nas mawiają: "Że stara księga, stara prawda i stare wino zawsze dobre."

— Jest to wielka prawda, zgadzam się, na starą prawdę, a szczególniej stare wino, ale dziękuję za starą księgę; ja ani jednej w swojem życiu nie przeczytałem. Oto nasza księga! zawołał uderzając w leżący na stole pałasz, to księga, to prawda najlepsza.

Zienkiewicz z boleścią westchnął. O! biada! pomyślał, gdzie sama szabla prawdą będzie!

Niedługo i wieczerzę zastawiono. Remer zajadał smaczno, pił wiele, aż rozmarzony, nie skończywszy ulubionej piosnki, zasnął twardo.

Grudczyński ze sypialnej komnaty przeszedł cicho koło śpiącego Szweda i spojrzał na podwórze. Noc była ciemna, śnieg tylko na dachach bielał, nadstawił ucha, milczenie.

— Jeszcze nie czas, rzekł do siebie i powrócił do alkowy.

XIII.

Stanisław Bąk i borowy najbliższymi drożynami dochodzili pod Ostrołękę, im więcej się zbliżali, coraz wyraźniej huk ręcznej broni i działowy słyszeli.

— Spieszmy, Staśku! spieszmy, żeby nie zaspać ciepłych gruszek w popiele, zawołał borowy, przyspażając kroku, odetchnę swobodniej, jak choć z jednego Szweda duszę podaruję djabłu na ofiarę. Właśnie wyszli z lasu, ujrzeli na czystem polu rozwinione szeregi Karola XII. Kurpie bronili się zacięcie przy wiatraku i we wsi między opłotkami.

— Czy widzisz! wykrzyknął ze zapałem borowy, nasi jeszcze we wsi trzepią czerwonym dłabłom skórę. Hurra na nich! I rzucił się naprzód z przygotowaną strzelbą, ale w tej chwili dwóch drabantów szwedzkich ujrzał tak blisko siebie, że nie miał czasu wystrzelić.

— Uważniejszy Stanisław Bąk zmierzył, a z połyskiem na panewce zwalił jednego z konia; drugi chciał uciec, ale borowy, który przed cięciem pałasza przypadł do ziemi, nagle się rzucił, porwał olbrzymią siłą za nogę i ściągnął z konia; rozjątrzony wymierzył cios w czoło Szweda. Bąk przybiegł, chciał uratować drabanta, ale zapóźno: przytrzymał tylko konia, gdzie spodziewał się łupu bogatego.

Tymczasem Karol XII parł coraz więcej Kurpiów, osadzonych między opłotkami i we wiatraku, ale wszędzie dzielny znajdował opór. Napróżno jazda szwedzka w całym pędzie chciała się przedrzeć, każde uderzenie własnymi opłacała trupami. Los przechylił się na stronę szczęśliwego Karola XII; potrafiono zapalić wiatrak i wioskę, które służyły Kurpiom dotąd za ochronę, w ówczas ci z jednej strony skwarzeni pożarem, z drugiej przyciskani od wiele liczniejszych wrogów, musieli ustępować na czyste pola, gdzie widzieli zgubę i od jazdy i od kul działowych. Ale nie stracili odwagi, w porządku, wśród gradu kul opuszczali wioskę i wiatrak.

Czekał tylko na to Karol XII; Zaledwie na polu się ukazali, jazda szwedzka ich okoliła; już byli zgubieni, w tym wrzawa w pobliżu powstała; na zuchwałych pewnem zwycięstwem uderzył Telembski na czele 200 szlachty. Zmieszani chwiać się zaczęli, z czego korzystając Kurpie, uszli zagłady.

Telembski widzi zamieszanie, umie korzystać; zachęca swoich i z głośnym okrzykiem uderza na ośm szmigownic, których ogień najwięcej raził, zdobywa je w jednej chwili, Szwedzi uciekają.

Wszystko to uważał borowy i Stanisław Bąk, ale sami oddzieleni, bojąc się napadu jazdy licznej, zaczajeni za krzakiem, celnymi strzały przerzedzali wrogów; widzieli napad śmiały Telembskiego, widzieli jako od razu działa umilkły w tamtej stronie, gdy z nagła widzą popłoch pomiędzy swoimi, widzą z boleścią, że zwyciężają Szwedy. Karol XII. bowiem, skoro ujrzał zdobyte działa śmiałym napadem Telembskiego, sam uderza, na czele jazdy nic mu się oprzeć nie mogło, odbiera armaty, a Telembski, cięty od niego w ramię pałaszem zaledwie uniesiony przez swoich.

Już nie było nadziei poprawienia losu bitwy. Kurpie rozsypani ginęli pod szablami Szwedów, jazda polska w rozsypce znalazła ochronę. Stanisław Bąk i borowy chyłkiem do pobliskiego lasu uciekali. Tam przyczajeni w gąszczu, zmordowani, spoczęli. Karol XII otrzymał pole bitwy i kazał ścigać zwyciężonych.

Telembski ciężko ranny, zaledwie oddychał osłabiony krwi upływem; trzymał go w swoim objęciu Jan Huczko, przywiązany szczególniej pachołek, który go prawie na ręku wypiastował i wszędzie nieodstępnie towarzyszył. Przewieszony na koniu omdlał; nieczuł żalu z wydartego zwycięstwa, nie czuł boleści z odniesionej rany.

Huczko tak dowiózł swego pana, aż na podwórze Wojewodziny działyńskiej; ujrzeli dworzanie rannego, poskoczyli, i zanieśli do sypialnej komnaty na wygodne łoże.

Twarz wybladła, cały krwią zbryzgany, oczy zamknięte; bez przytomności leżał Telembski, przy nim stała sama Wojewodzina i z wlepionymi oczyma wpatrywała się w oblicze młodzieńca. Po wielu trudach i trzeźwieniu, otworzył oczy i westchnął.

— Żyje! zawołała w uniesieniu radości Działyńska, żyje! i przyłożyła mu rękę do serca.

Przywołany lekarz zalecił jak największą spokojność słabemu; opatrzył ranę i uspokoił troskliwość Wojewodziny, że nie jest grożącą.

Działyńska usiadła przy łożu słabego ze zamyśleniem, kilka razy westchnęła z boleścią, a najczęściej przykładając mu rękę do serca mówiła do siebie:

— Bije, ale jakże słabo! o! gdyby tylko chociaż tyle dla mnie!

Karol XII po odniesionem zwycięstwie dojeżdżał do wiatraka, który jeszcze cały był w płomieniach, przy domku młynarza stało 30 Kurpiów wziętych w niewolę.

— Tych chłopów bez butów wywieszać co do jednego, zawołał z gniewem. No! czego stoicie! krzyknął w uniesieniu na swoich. Karol nie powtarza rozkazu! Tu na wierzbie po jednemu, a gdy zabraknie miejsca na stryczek niech spróbują jak teraz ciepło we wiatraku.

Zachęcone żołdactwo rzuciło się jak psy wściekłe na bezbronnych Kurpiów; w jednej chwili kilkunastu wisiało na drzewie, dwom związali ręce i nogi, a rozbujawszy z początku, rzucili w płomienie; jęk nieszczęśliwych męczenników pobudził zbójów do śmiechu, po jednemu wybierali, a rzucając losy dla rozrywki albo na drzewie powiesili, lub żywcem na pastwę płomieni rzucali.

Nad wieczorem zagasł ogień, gdy cały wiatrak spłonął. Karol XII przejeżdżał znowu, przypatrywał się powieszonym Kurpiom w tym koń się potyka mocno, spojrzał Karol na ziemię i ujrzał, że zdeptał ciało Kurpia spalonego na węgiel, którego trup jeszcze zawadził mu w drodze.

Koniec Tomu pierwszego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadka.

Rozwiąż zagadkę — zagadka nie lada:
Jaka to woda, co z nieba nie spada?
Jaka to woda, co nie tryska z ziemi?
Gorzka, a przecież walczy z najsłodszemi.

Miejscowe.

—

Pomysły Kuryera.

—

Kuryer sprobował w No. 194 zrobić odkrycie z tego, co całemu światu od niepamiętnych czasów wiadome i cieszył się, jak głupi do sera, że coś nowego powiedział. Ujrzał on mianowicie podobieństwo między klerykałami a masonami w tem, że jedni i drudzy chcieliby panować nad światem. A przecież to podobieństwo jest tylko cząstkowem tegoż samego ogólnego podobieństwa pomiędzy Stwórcą a Lucyperem. Że zaś Lucyper panował już raz przez 4000 lat nad światem, skusiwszy ludzi do zniewagi Stwórcy i że nigdy nie ustaje w tej pracy, wiodącej do tego celu za pomocą kłamstwa, o tem wie każda kobiecina, nie mająca nigdy tyle pretensyi do mądrości, co Kuryeroroby.

Dopóki drukarskiej sztuki nie znano, posługiwał się ojciec kłamstwa, Lucyper, rozlicznymi pomocnikami swymi, tak zwanymi szarlatanami, albo szatanami wcielonymi pośród ludzkiego społeczeństwo, później towarzystwami tajnymi, do których i masoni należą, ale najważniejszych rzeczników ma dzisiaj w liberalnej prasie, wśród której Kuryer nie poślednie zajmuje miejsce. Tego jednak nie chce on wiedzieć, a przynajmniej udaje przed czytelnikami swymi, że nie wie i wyraża swą ciekawość zaraz w następnym numerze o środki, jakimi go pokonywać będą. Czy potrzeba jeszcze wynajdywać jakie środki na tych, którzy ich sami na siebie dostarczają? Czy złe nie rozbija się samo o siebie?

W numerze 196 (sobotnim), dostał już napadu choroby (prawdopodobnie z upału który tegoż dnia panował), bo samej polemiki miał z rozmaitymi redaktorami około 7 szpalt tudzież dwie szpalty samej krytyki, skierowanej przeciw polskim kobietom w Chicago, Buffalo i Milwaukee. Przypisał wszystkim brak zatrudnienia i plotkarstwo, a już najnatarczywszy szturm przypuścił do kobiet polskich milwauckich, które go do niedawna prawie wyłącznie utrzymywały. Czyni on to zapewne dla scharakteryzowania swego bohaterskiego, czyli rycerskiego ducha, gdyż bronić religii, duchownych i bezbronnych niewiast należało do pierwszych cnot i obowiązków rycerstwa, dopóki się takowe nie przedzierzgnęło w bandy łupieskie. Tych ostatnich natura istnieje dzisiaj tylko jeszcze w nikczemnikach i opryszkach.

Jego zaś stały korespondent uczynił w tym samym numerze Kuryera publiczną samochwalczą spowiedź pod firmą Iksa W. K. tonem modlitwy faryzeusza ewangelicznego. Jako tamten celnika starozakonnego, tak on zastosował jako przeciwieństwo do siebie Wgo ks. Grutzę z Milwaukee. A jak tamten modlił się: "Dzięki Ci Panie Boże, iż nie jestem jako inni ludzie drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, jako i ten celnik. Poszczę dwakroć w tydzień, dawam dziesięciny ze wszystkiego, co mam" — tak znów X. W. K. czyni to mniej więcej w następujący sposób: "Dziękuję Ci Panie Boże, iż pobudowałem dwa kościoły dla 90 rodzin za $18,000 (i obdłużyłem rozumie się każdą rodzinę na $200) w tym samym czasie, w którym ten oto tam celnik (ks Grutza) jeszcze nie ukończył swej Bazyliki, choć parafia jego 1350 rodzin, a koszt budowy tylko $100.000 ma wynosić".

W całym zaś artykule twierdzi, iż na budowę Bazyliki pożyczają pieniędzy głupi i że ufają osobie Wgo księdza Grutzy. Z tego jasne jak na dłoni, że sam X. W. K. nie wie, co wiedzieć powinien i mądrzejszych od siebie głupimi nazywa. Jeżeli bowiem parafia jaka jest inkorporowana i jej opiekunowie na pełnem posiedzeniu pod przewodnictwem Biskupa dyecezyi uchwalą wysokość długu, mającego się na nię zaciągnąć i upoważnią księdza do podpisywania skryptów na tęż sumę, to każdy bank wypłaci taki weksel bez dorady Iksa W. K.

—

URZĘDOWA POSADA NADANA TUTEJSZEMU POLAKOWI.

—

Kapitan Gwardyi, Tadeusz Wild — klerkiem naczelnym inspektora bankowego.

—

22 b.m. zamianował gubernator Scofield ob. Tadeusza Wild'a naczelnym klerkiem w biurze inspektora bankowego w Madison. Z posadą tą połączona jest płaca roczna $1800.00. Z okazyi tego mianowania nie zaniedbały tutejsze innonarodowe dzienniki dołączenia życiorysu nominanta. Podały go mianowicie za urodzonego w Milwaukee, o czem jednak wątpić należy wobec faktu, iż rodzina jego do niedawna żyła w starym kraju, a brat miał nawet księgarnię we Lwowie. Równocześnie nadmieniają te pisma, że jest on pierwszym polakiem, który od stronnictwa republikańskiego posadę otrzymał. Nam się jednak zdaje, że takim polakiem jest w tutejszem mieście p. Kubal, a p. Wild drugim.

—

KRĘGIELNIA W KOLEGIUM ŻEŃSKIEM.

—

Były radny tut. miasta, James A. Bryden, zastępca prezesa izby handlowej, oświadczył gotowość sprawienia własnym kosztem kręgielni dla zakładu naukowego żeńskiego, znanego pod nazwą "Milwaukee Downer College" Fundator ma być zapalonym kręglarzem i pragnie uraczyć damy rzeczonego zakładu tym rodzajem zabawy w przekonaniu, że im posłuży ku ich moralnemu i materyalnemu dobru.

Bez wątpienia posłużyłoby to zawsze do czegoś, choćby tylko do zbytecznego ruchu poza godzinami nauki, a powierzchowniejszej uwagi i roztargnienia podczas takowej.

—

TRZY PROJEKTY DLA KOMPANII KOLEJOWEJ.

—

Na ofertę kompanii kolei ulicznej względem obniżenia ceny jazdy w zamian za przedłużenie jej na lat dziesięć przywileju drogowego jest trzy projekty w ręku radnego Chase, jako członka oddzielnego komitetu, wydelegowanego wyłącznie do tej sprawy. Jeden z tych projektów pochodzi od skarbnika miastowego — opiewa, aby spółka od każdego jadącego koleją uliczną jeden cent do kasy miejskiej wpłacała. Drugi pochodzi od kom podatkowego Brown'a i opiewa, aby spółka 6. procent od swego kapitału zakładowego rocznie zatrzymywała, a resztę oddawała miastu. Trzeci projekt jest samego radnego Chase i opiewa, aby spółce przywilej prawa drogowego na dalszych lat dziesięć przedłużono z warunkiem obtanienia cen jazdy na 4 centy i zachowania nadal systemu, zaprowadzonego już względem wymiany biletów jazdy na różne linie.

—

—

Do czytelników.

—

Zuwagi, iż literatura nasza jest tak bogata, że z niej korzystają nawet inne narodowości i nawet nieprzyjaciele naszej ojczyzny, co dawniej zakazywali nam czerpania z niej wiadomości, kazują dzisiaj przekładać ją na swój własny język narodowy; z uwagi nadto, iż nie każdemu znany jest cały zakres tejże literatury i treści pojedyńczych jej skarbów, postanowiliśmy gromadzić najcenniejszy ten materyał w tygodnik przeznaczony na księgę okazałą z końcem roku, a to, aby utworzyć tanio doborową bibliotekę domową dla każdej polskiej rodziny w poprawnym dzisiejszym języku polskim. Do tego jednak celu, sięgającego nie na dziś lub jutro, lecz w przyszłe aż pokolenia, nie wystarczą nasze dobre chęci bez poparcia ich przez wszystkich bez wyjątku polaków. Tych bowiem powieści, z których każda kosztuje $2.00 nie zdołamy połączyć w jednę księgę za $1.00, jeżeli się znajdą rodziny polskie, nie pojmujące naszego zamiaru. Na taką zaś księgę przeznaczon jest tygodnik "Źródło" i dla tego uważamy za swój obowiązek objaśnić szanownych czytelników i ojców rodzin o jego znaczeniu i wartości, aby takowy niezwłocznie prenumerowali i nie pozbywali się bezwiednie za $1.00 tej księgi, która będzie zbiorem kilku ksiąg, kosztujących po kilka dolarów. Dotąd jest "ŹRÓDŁO" w rękach 12,000 rodzin polskich.

—

Wpisy do szkoły wyższej polskiej,

—

odbędą się w ostatnich dwóch dniach miesiąca sierpnia tudzież 1. i 2. września. Nauka rozpoczyna się 4. września, według następującego planu.

Klasa I.

Religia — 3. godziny tygodniowo.

Język polski — Z gramatyki zdanie rozwinięte i złożone; główne zasady z etymologii, związek myśli i geneza głównych zdań. Z literatury — pojęcie o pojedynczych, krótkich utworach poetycznych z epiki i liryki. Ze stylu — wyrażanie prozą tak ustnie jako i piśmiennie treści z czytanej poezyi; opisy i porównania przedmiotów zmysłowych i przystępnych umysłowych.

Język niemiecki — Zdanie pojedyncze i odmiana słów, niezbędnych do jego budowy lub przekształcania, jako to: czasowników foremnych, rzeczowników, zaimków, przymiotników i słów przymiotnych oraz szyk prosty i przestawiony. Prace piśmienne polegają wyłącznie na tłomaczeniu.

Język angielski — 6. godzin tygodniowo. Czytanie z uwzględnieniem prawideł akcentuacyi i modulacyi. Ćwiczenia piśmienne w przedstawianiu prozą poezyi.

Historya powszechna 3. godziny tygodniowo. Odkrycie i osiedlanie Ameryki, wojny z tubylcami, wojny wynikłe z europejskich wojen; cywilizacya mieszkańców; wojna o niepodległość i ostatnia o prawo wolności osobistej z r. 1861.

Geografia — 3. godziny tygodniowo. Układ poziomy i pionowy czyli ukształtowanie wybrzeży i lądu amerykańskiego. Stoki, rozległość, komunikacye lądowe i wodne, produkta, przyrody i przemysłu Stanów Zjedn. Klimat, jego wpływ na rolnictwo i jego zawisłość.

Matematyka — 5. godzin tygodniowo. Biegłość w czterech działaniach ułamkami zwyczajnymi i dziesiętnymi; rachunek procentu bez czasu i z czasem.

Kaligrafia—2 godziny tygodniowo. Codzienna nauka trwa po 6½ godzin z wyjątkiem soboty.

Klasa II.

Religia — 3. godziny tygodniowo.

Język polski — 6. godzin tygodniowo. Z gramatyki geneza zdań pobocznych, skracanie zdań i budowa okresu. Z literatury — rozgatunkowanie poezyi na epiczną, liryczną i dramatyczną; istota, forma wewnętrzna i zewnętrzna każdej. Czytanie i wygłaszanie według praw akcentuacyi i modulacyi głosu; streszczenie prozą dłuższych ustępów poetycznych, opisy i porównania.

Język niemiecki — 6. godzin tygodniowo. Z gramatyki, prawidła akcentuacyi, odmiana czasowników nie foremnych i zastosowanie jej w zadaniach piśmiennych. Czytanie i opowiadanie ustępów prozaicznych, a streszczanie poetycznych w odpowiedziach na obliczone w tym celu pytania, składnia, szyk i interpunkcya.

Język angielski — 6 godzin tygodniowo. Czytanie i streszczanie prozy uwzględnieniem zasad wymowy. Ćwiczenia piśmienne w układaniu listów handlowych.

Historya. — 3 godz. tygodniowo. Dzieje starożytne, historya polska, grecka i rzymska w pierwszem półroczu; zaś dzieje średniowieczne w drugim półroczu ze szczególnem uwzględnieniem historyi polskiej do Kazimierza Jagiellończyka włącznie.

Geografia — 1 godzina tygodniowo. Geografia: oro-i hydro grafia tudzież polityczna starożytnych i średniowiecznych państw.

Fizyka. — 2 godziny tygodniowo.

Matematyka. — 5 godzin tygodniowo. Proporcye pojedyńcze i złożone i złożony rachunek procentowy.

Stenografia. — 2 godziny tygodniowo. Przenoszenie dyktatów na pismo zwyczajne i odwrotnie.

Buchalterya. — 1 godzina tygodniowo.

Klasa III.

Religia. — 3 godziny tygodniowo.

Język polski. — 6 godz. Z gramatyki: etymologia; powtórzenie genezy zdań i składnia szyku. Z literatury: powieść poetyczna epopeja, dramat. tragedya, komedya. Podział literatury na epoki i cechy pojedyńczych epok. Istota i zasady wymowy.

Język angielski. — 6. godz. tygodniowo. Czytanie dłuższych utworów poetycznych oraz wyjątków z wymowy celnych autorów i ćwiczenia piśmienne ze stylu interesowego.

Język niemiecki. — 6. godz. tygodniowo. Z gramatyki: syntaksa i powtórzenie odmian z klas poprzednich; czytanie najcelniejszych utworów z prozy i poezyi, streszczanie takowych ustnie i piśmiennie oraz korespondencye ze stylu interesowego.

Historya. — 2 godziny tygodniowo. Dzieje nowożytne i historya polska do najbliższego czasu.

Geografia. — 1 godzina tygodniowo.

Matematyka. — Powtórzenie materyału z klasy 2., wypłaty, rent, roczne i przypadkowe, assekurcyjne renty na życie i na wypadki, rachunek spółki i bankructwa, obliczanie wartości towaru mieszanego, potęgowanie i wyciąganie pierwiastków; mierzenie powierzchni i objętości ciał.

Buchalterya. — 2 godz. tygodniowo z buchalteryi kupieckiej i bankowej.

Typografia. — 4 godz. tygodniowo.

Stenografia.—Dyktaty po 2 godz. tygodniowo.

Oprócz powyższych przedmiotów udzielać się będzie prywatnie 3 razy w tydzień łaciny dla uczniów, zamierzających udać się do seminaryum.

Chcesz zarobić pieniądze?

—

JEŚLI TAK, TU ZAMIEŃ WŁASNOŚĆ NA GRUNTA I FARMY,

—

W polskiej kolonii Crivitz i Ellis Junction w powiecie Marinette, Wisconsin, w pobliżu dwóch dużych miast Marinette i Menomonee.

Jest to kolonia świeżo, bo dopiero od dwóch lat założona, a już się tam okupiło i osiedliło 65 polskich rodzin. Najlepszy grunt i klimat dla rolnictwa jest we Wiskonzynie. Dowodem tego już liczne kwitnące kolonie polskie.

Okolica leśna, ziemia dobra, łatwość uzyskania wody i klimat zdrowy, dobre targi, dużo roboty, miejsca dla każdego.

Grunta te są urodzajne. a wszystko zboże i warzywa obficie się obradza. Do miejsca tego dochodzą dwie koleje, którymi można wszystkie produkty rolnicze odsyłać. Nadto, grunta te przerzyna sławna rzeka Peshtigo, którą okoliczne młyny spławiają miliony sztuk drzewa budulcowego rocznie.

Każdy kupujący grunta, dostanie zatrudnienie zimą i latem w młynie, płacę od $1.25 do $1.75 dziennie, jeżeli będzie chciał pracować. Grunta zamieniamy z powodu ciężkich czasów na własność miejską z długami i bez długów. Ziemia ta kosztuje na zamianę lub za gotówkę po $10 akier.

Kupującemu dajemy kredyt na wypłatę po 6 od sta, budujemy dom, stajnie, stodołę i chlewy; zaopatrujemy w konie i krowy, słowem w cały inwentarz, oraz we wszelkie przybory rolnicze itd.

Nowy kościół i szkołę bez długu za 6000.00 dolarów pobudowano kosztem kompanii, a zatem wszelkie potrzeby duchowne zaspokojone.

Jeżeli masz zamiar założenia sobie gospodarstwa w żyznej okolicy między dobrem sąsiedztwem w polskiej osadzie, ze szkołami i kościołem, gdzie farmer jest zajęty całe lato swoją rolą, a zimą sprzedaje drzewo, lub ma zajęcie w rozlicznych młynach, to przyjeżdżaj tu do Wiskonzynu. Przyjeżdżaj zaraz i załóż sobie ognisko domowe, w polskiej osadzie, gdzie tak dużo rodaków ze wszystkich stron Ameryki obecnie zaczyna się osiedlać. Jest to jedyna sposobność życia. W mieście już nie ma co robić, gdyż liczne ulepszone maszyny odebrały wam na zawsze zarobek, a kawał ziemi da wam spokój i dobrobyt. Wszakże obowiązkiem każdego jest oszczędzać grosz dla swych dziatek.

Kupującym grunt od nas dajemy do "Warranty Deed'tu Abstrakt", aby się przekonać mogli, iż kupili grunt od właściciel. Podróż z Milwaukee tam i napowrot kosztuje $4.95, a z Chicago tam i napowrot $7.55.

Nie żądamy nic więcej, jak tylko abyście obejrzeli nasze grunta, zanim kupicie gdzieindziej. Dalszych informacyi udzieli wam

IGNACY CZERWINSKI,
453 przy ulicy Mitchell,
Milwaukee, Wisionsin